

RECENZJE

Bernadetta Darska

Nielot domowy

Książka Magdaleny Kordel "48 tygodni", jak dowiadujemy się z czwartej strony okładki, to "opowieść zabawna i nowatorska". Jest nie tylko portretem życia młodej mężatki i matki, ale też zapisem przeżyć kobiety, która nie ogranicza się jedynie do życia rodzinnego. Wspomniany opis na okładce gwarantuje ponadto, że spotkamy się tutaj z dużą dawką humoru i że trudno nam będzie od lektury się oderwać. Wspaniała lektura rozrywkowa - można by powiedzieć. Czy jednak naprawdę?

Sam pomysł opisanego w formie dziennika codziennych przeżyć młodej mężatki nie jest na pewno niczym nowym. Zawiera jednak w sobie potencjalną szansę na dowcipnie spisana, autoironiczną opowieść. Codzienne zmagania z domem rodzinnym i z pracą zawodową niosą w sobie wielość sytuacji, które są w stanie zobrazować ów kobiecy los w taki sposób, by zamężna wersja Bridget Jones wzbudzała sympatię czytelnika. Wszak nie oczekujemy od literatury popularnej wnikliwej diagnozy społecznej czy drobiazgowej analizy postaci. Bohaterka i jej perypetie winny w dużym uproszczeniu przede wszystkim bawić i wzruszać - to minimalizm oczekiwań. Od powieści popularnej raczej nie wymagamy nowatorstwa i choć na okładce zapowiedź tegoż czytamy, w "48 tygodniach" go nie znajdujemy - ani w formie, ani w treści

W przypadku książki Kordel czekają nas przede wszystkim bardzo mieszane odczucia. "48 tygodni" z pewnością również nie wzrusza; niestety, także nie bawi. Budzi za to szereg (niezamierzonych) skojarzeń z Harlequinem i najwycyńniejże zażenowanie.

Magdalena Kordel zbudowała swoją opowieść przede wszystkim na stereotypach. Można by też przypuszczać, że towarzyszył jej lęk przed wyrazistością. Dziwne? Już tłumaczę. Ów lęk wypływa, tak przypuszczam, z chęci pozostania kobietą, ale właśnie w tendencyjny sposób - bohaterka Kordel nie jest zatem ani kurą

domową, ani wyzwoloną, nowoczesną kobietą. W efekcie mamy portret stereotypowej "kobietki". Zdrobnienie nie jest tu przypadkowe. Kobieta w opowieści Kordel bardzo przypomina bowiem dziecko - infantylne, bezbronne, wymagające opieki.

Natasza, bohaterka "48 tygodni", bardzo odbiega od swojego amerykańskiego wzorca w postaci Bridget Jones. Jej dowcip, jej ironia to zaledwie słaby pogłos amerykańskiego pierwowzoru. Natasza bardziej tłumaczy się ze swego braku zdecydowania, chęci spełnienia zawodowego, nieasertywności, niż podchodzi do siebie z dystansem i poczuciem humoru.

Jej związek zbudowany jest na jednym wielkim stereotypie kobiecości i męskości. Kobieta to oczywiście wzór wyrozumiałości, to ona wychowuje potomstwo i opiekuje się domem. Jeśli decyduje się pracę zawodową, cały dom staje na głowie i wszyscy czują żal, że matka i żona nie jest już do wyłącznej dyspozycji domowników. Toleruje także przyjaźń męża z inną kobietą i fakt, że to owa przyjaciółka jest nadzwyczaj często na pierwszym miejscu. Tłumi w sobie niechęć i zgadza się, aby ktoś obcy ingerował w ich związek. Szukając pracy, spotyka się, oczywiście, z dyskryminującymi pytaniami o dziecko i zajście w ciążę, ale pracę znajduje właściwie bez problemu. Gdy na horyzoncie pojawia się teściowa, to zawsze krytykuje Nataszę i jest sceptycznie nastawiona do jej poczynąń. Sebastian, mąż, jest przekonany, że wychowanie dzieci i zajmowanie się domem to domena kobiet, co więcej jako naturalnie przypisane do płci czynności, nie są one niczym szczególnym i nie wiążą się tak naprawdę z żadną pracą. Do obowiązków żony należy też czekanie z obiadem, a mężczyzna po powrocie z pracy spędza czas przy telewizorze i z gazetą w rękę. Jeśli kobieta ma zmartwienie lub zaczyna mieć niestandardowe pomysły, powinna zająć w ciążę. Nie będzie miała wówczas czasu na fanaberie i negatywne

emocje. Jako mężczyzna Sebastian wymaga nieustannej opieki, troski i zainteresowania. Żeby uszczęśliwić swoją małżonkę daje jej wymarzony prezent - przepisuje na Nataszę domek na wsi, który otrzymał w spadku od ciotki. Książka kończy się więc happy endem istic harlequinowym, choć trudno tu mówić o właściwej fabule, której finalnym momentem jest właśnie ów akt. Prezent Sebastiana - można by tak powiedzieć - powoduje urwanie się zapisków, portretujących pewien etap życia małżeństwa.

Spisanie perypetii młodej mężatki być może okazałoby się więc udane, gdyby nie papierowe postacie. Trudno bowiem dopatrzeć się odrobiny wiarygodności w relacjach pomiędzy szablonową kobiecością i szablonową męskością. Nawet gdyby autorce udało się

sportretować Nataszę zgodnie z założeniem jako przebojową, nie jest łatwo uwierzyć w związek takiej kobiety z dużym dzieckiem, które tylko dziecięcość ma do zaoferowania. Rozpisanie na nowo wymagają zatem dwie główne role - męska i żeńska. Szkoda, bo mogło być z tego zabawne i pouczające czytadło. A jest jedynie czytadło harlequinowe, przewidywalne, nafaszerowane stereotypami. Szkoda.

Bernadetta Darska

Magdalena Kordel
48 tygodni
Wyd. Prószyński i S-ka
Warszawa 2005

RECENZJE

Anna Rau

Czytanie bez opalenizny

A mogło być tak pięknie - "nienasycony apetyt uczyniła swoim własnym (...): odwieczne pragnienie, by zjeść całe niebo i wypić gwiazdy"... - i na dobry początek lektury wejście w duszne powietrze o dwunastej w południe i widok na zamyślonego ośła pośrodku drogi oraz samotnego, nieznanego wędrowca przemierzającego doliny Italii... Południowe Włochy... - dla nas, mieszkańców ziemi z wiecznie pochmurnym niebem i trzema zimnymi porami roku - to synonim nieskończonego szczęścia sjesty. Tęsknimy (równie mocno jak narzekająca na nasz klimat królowa Bona) za leniwym hamakiem, "prawdziwym" - wygrzanym przez słońce - smakiem pomidorów, pokazowym "włoskim" temperamentem... Przed naszymi oczami pojawia się więc istny kalejdoskop stereotypów, o których spodziewamy się przeczytać: piękne, bujne urodą, Włoszki, nieco pogańska, ale niewątpliwie autentyczna religijność, fundament rodziny, mamma, piłka nożna i moda. Trucizny, mafia, włoskie ziola, sery i pizza. I istny pociąg

filizanek smolistego espresso... Albo cappuccino. Takie to rozbuchane sceny przysuwa naszej wyobraźni już sam tytuł powieści L. Gaude - "Słońce Scortów".

Teoretycznie wszystko się zgadza... Smakowite a odznaczone kursywą wspomnienia sędziwej donny Carmeli. Pięć pokoleń ludzi skazanych na tragiczne fatum dzięki złej sławie założyciela rodu. Nieślubne dziecko zrodzone z długoletniej starej panny. Małe miasteczko Montepuccio. Emigracja za chlebem, Stany Zjednoczone, tęsknota za ojczyzną. Przepływ iskry porozumienia przez pokolenia i wielka praca nad zmianą wrodzonej mentalności krwi. Interkontynentalny powrót: z bagażami, zrozumieniem, nawróceniem, odkryciem korzeni i religii. Trzęsienie ziemi. Sacra famiglia, don Salvatore, chorągwie i maccaroni z bazylią!!!...

A do tego jeszcze tyle dobrze, że podczas lektury pojawiło mi się odwieczne wewnętrzne pytanie o chyba wspólną wszystkim ludziom kwestię: dlaczego jednocześnie się kocha i niena-

widzi miejsce swego urodzenia? No, może użyłam zbyt mocnych słów, takie uczucia (według odniesień geograficznych) byłyby bardziej właściwe osobowościom włoskiego pochodzenia... Czyli inaczej - jak to jest, że z jednej strony odczuwa się chęć zmiany i porzucenia "przypisanego" sobie miejsca oraz rozpoczęcia własnej historii gdziekolwiek na nowo, a z drugiej, że - będąc "gdzie indziej" - czuje się nieuzasadnioną tęsknotę wraz z nostalgią powrotu oraz melancholią wspomnień. Jednym słowem, plusje się i szczerka na własne miasto, dom, podwórko, ale biada, jeśli ktoś pozwala sobie przy nas je skrytykować. Czy to psychologia człowieka, że dopiero wyjątkowa patologia wykorzenia z miejsca urodzenia? Zjawisko podobne do niewidzialnej i niedocenianej więzi z rodzicami. Za czasów chmurnej i bardzo wynalazczej młodości chyba każdy próbuje iść swoją drogą, wstydy się uczuć czy wręcz obecności rodziców i chowa swoje przywiązanie, neguje kontynuację pokoleń. Dopiero wewnętrzna dojrzałość po kilku dobrych latach od okresu pokwitania zawraca "już-nie-czupurnego młodego" do wszystkiego, co tak głupio i bezmyślnie porzucił. Żeby tylko nie za późno... Żeby rodzice jeszcze żyli, żeby mój dom jeszcze stał, żeby moje drzewa jeszcze szumiały... Żeby zdążyć nadrobić wszystkie nie wypowiedziane "kocham cię", napatrzeć się z okna na znajome - ale nie do znudzenia - dachy okolicznych domów, nasiedzieć

na wytartym odkał pamięć sięga fotelu... Sentymalne, ale prawdziwe.

Bohaterowie powieści też powracają do wykłętych korzeni, żeby ocalić przyszłość - swoją i innych. Tylko, że... Jest niby śpiewna miękkość włoskich słów oraz nieznaczny, a podbechtujący wrodzoną próżność, wątek polski - ale jakieś to takie patetyczne! Co prawda - jak wskazuje motto przy pierwszym rozdziale - nieukrywany założeniem autora powieści była próba "przekazania potomnym tak wielkiego milczenia". Potomnym i czytelnikom. I jakoś mi to zgrzyta na zębach od czytania - takie misje traktuję poważnie już tylko u nielicznych Autorytetów Życia Codziennego, a nie w literaturze, gdyż czasy "Pana Tadeusza" z zapłakany Skawińskim przeminęły. I niby lubię sagi rodzinne oraz przyprawę literacką w postaci szczypty psychologii życia codziennego, ale... I wreszcie wstyd mi, gdyż powieść L. Gaude ma na swym koncie liczne nagrody, w tym polską oraz francuską "wersję" Nagrody Goncourtów '2004!... Ale... - to cappuccino nie ma pianki - i już!

Anna Rau

Laurent Gaudé
Słońce Scottort
przeł. Jacek Giszczak
Wyd. W.A.B., Warszawa 2005

wymienić panikę o charakterze masowym czy zbiorową euforię. Najpowszechniejszym jednak zjawiskiem są wyprzedaże i protesty, włącznie z zamieszkaniami (najczęściej na tle religijnym lub szerszej kulturowym). Masowość kultury przez wielu uznawana jest za jej największą słabość, prowadzącą w konsekwencji do upadku wszelkich wartości, autorytetów, grożącą zapaścią intelektu społeczeństw i potrzeb ambitnych, które dla podkreślenia przepaści jaka dzieła od powszechności, określa się mianem wysokich, właściwych kulturze wysokiej.

Podobnymi zjawiskami zajmuje się w swojej pracy Przemysław Kołak, mowa bowiem o jego "Kulturze masowej jako produkcie reklamowo-marketingowym". Autor wiele miejsca poświęca zabiegom, które mają doprowadzić do krystalizacji pojęcia kultury masowej. Czynnikiem to Kołak przywołuje dziesiątki nazwisk i stanowisk, sytuując zjawisko narodziny masowości w XIX wieku. Jeśli przyjąć podobny tok rozumowania, zaprzeczć trzeba by zdobyciom poprzednich dziewiętnastu stuleci, jeśli liczyć tylko od narodzin Chrystusa, co zaś z kulturą Cesarstwa Rzymskiego? Co z kulturą starożytnego Egiptu? To w tych ośrodkach silnie rozwijały się idee wpływające potem na resztę znanego ówczesnym świata. Miały zatem charakter masowy, ponieważ związane były ze społecznością silnie definiowaną określonym terytorium, społecznością, która z czasem dzięki ekspansji czy to o charakterze handlowym, czy zbrojnym asymilowała wytworzone wcześniej idee, o których Wojciech Burszta mówi etnocentryzm. Również kolejne stulecia, w tym chyba najsilniej wiek XVI przyczynił się do rozwoju myśli dającej podstawy terminowi kultura masowa. Wówczas człowiek zamieszkujejący dotychczas Europę-centrum, walczący z przekonaniem, iż ziemia nie jest płaską, podtrzymywaną przez krwiozercze monstra, lecz kulistą, nieogarnioną przestrzenią postawił sobie bezprecedensowy cel: eksplorację i w konsekwencji zaprowadzenie na nowych terytoriach swoich rządów. Stopniowo zaczęło rodzić się poczucie sugerujące, że nowa cywilizacja: odkryć, wynalazków jest przesiąknięta zepsuciem i chyli się ku upadkowi. Późniejsze tezy Rousseau byłyby wobec tego zbieżne z dzisiejszymi przepowiadającymi krach znanej nam kultury i cywilizacji. Rousseau krytykował to, co

wyrastało z potencjału intelektualnego człowieka, prowadziło bowiem do jego zwyrodnienia. Dziś osądza się kulturę masową, degenerującą rzekomo potrzeby wyższe, czyli zarzucano jej niedostatek lub brak intelektualnych podniet. Jednak to, co proste również z intelektualnego czerpie. Jest przecież kultura masowa owocem rewolucji technologicznej ostatniego dwudziestolecia, choć korzeni fenomenowi szukać należy w zimnowojennym wyścigu zbrojeń.

Analizując dalej wywód Przemysława Kołaka warto zauważyć, że badana przez niego kultura wykazuje jeszcze jedno daleko idące pokrewieństwo z cywilizacją starożytną, czy dalej europejską z epoki wielkich odkryć geograficznych. Jest również oparta na etnocentryzmach. Cechuje ją jednak daleko posunięty synkretyzm, który umożliwia między innymi odległe gatunkowo zestawienia uosabiane przez skrzypaczkę, skrzypka prezentujących rockowo-popowe wykonania dzieł klasyków. To także epoka, w której mając odpowiednio zasobny portfel stapać można, w domowej toalecie, po marmurowej posadzce sprawdzonej na zamówienie z ruin starogreckich świątyń. To wreszcie czas, kiedy nie bulwersuje już fakt, iż dalekowschodni przywódca duchowy być może atrakcją i gwoździem programu niejednego hollywoodzkiego przyjęcia.

Wynika z powyższego, iż zjawiska upowszechnienia, masowości w jej aspekcie teraźniejszym dopatrywać się trzeba w scaleniu fragmentaryzmów kulturowych, opartych na silnie etnocentrycznych społeczeństwach, które w pewnym momencie rozprzestrzeniły się po naszym globie. Stało się to jednak na pewno wcześniej niż sugeruje Kołak. Pojawia się jednak kolejne pytanie: czy autor "Kultury masowej" sugeruje, rozważa, dowodzi? Analizując jego szkic trzeba odpowiedzieć na to pytanie negatywnie. Dominantą kompozycyjną publikacji jest przytaczanie stanowisk badaczy, które potem opatrzone są komentarzem odautorskim, a raczej jego próbą. Tak było w przypadku szkieletowania sytuacji dotyczącej krystalizowania pojęcia kultury masowej, tak jest również w przypadku rozważań poświęconych zjawisku reklamy. Dla której genezy szuka autor w starożytnym Rzymie, a której historia jest daleko bogatsza. Pierwsze bowiem reklamy pochodzą sprzed blisko dziesięciu tysięcy lat i zapisane zostały na glinianych tabliczkach.

RECENZJE

Miłosz Babecki

Ewolucja kultury fragmentarycznej

Źródeł kultury teraźniejszej, globalnej, transmitowanej za pomocą łącz satelitarnych, światłowodowych, obecnej w prasie, która z racji swego wizualnego charakteru z przestrzeni oralnego przekazu przeniosła się do świata bodźców wzrokowych, wreszcie kultury sztucznych, białych niczym śnieg uśmiechów atakujących z każdego urządzenia posiadającego wyświetlacz, szukać należy podobno w wieku XIX. Wówczas zjawisko opisane powyżej jako globalne, zyskało miano masowego (pochodna rzeczownika masa), określającego wielość, ogrom istnień ludzkich, skupionych na stosunkowo małej

powierzchni geograficznej. Kultura masowa byłaby zatem owocem eksplozji demograficznej dziewiętnastego stulecia, wobec czego jej funkcjonowanie oparte byłoby tylko na fundamencie ilości. Od czasu narodzin pojęcia definiującego kulturę nowych społeczeństw minęło jednak wiele czasu i dziś określenie masowa znaczy powszechnie dostępna dla każdego i w każdym momencie. Masowe jest zatem wszystko, począwszy od społeczeństwa, przez media (czynnik dystyngtywny dla obecnego kształtu kultury), rozrywkę, w tym także kształtujące człowieka emocje, pozytywne i negatywne, żeby

Szerzej piszą o tym J. Thomas Rus-
sel, W. Ronald Lane w publikacji
"Reklama według Ottona Klep-
nera", dziele istotnym, o którym
autor "Kultury" nie wspomina.
Sprawia zresztą "Kultura masowa
jako produkt reklamowo-marke-
tingowy" wrażenie wydawnictwa
fragmentarycznego. Z jednej strony
historizm kulturowy, z dru-
giej historyzm reklamy, wsparty
próbą analizy środków i instru-
mentów oddziaływania komuni-
katu reklamowego na odbiorcę.
Pojawiają się w związku z tym
wątki psychologiczne i te wpisane
w komunikację społeczną etykie-
towaną jednak prawie wyłącznie
modele znanym z public relations
poprzedzone wspomnieniem o
propagandzie.

Kultura masowa to jednak

nie tylko reklama, to coś więcej.
Już nie styl zachowania asymilo-
wany z ekranów poprzez clipy re-
klamowe, lecz styl życia i myślenia
powodujący, że urzeczywistnić
się zaczynają kinowe wizje glo-
balnego społeczeństwa pod
jednym rządem. Czynniki wie-
lonarodowe konstytuujące, w
poważnym stopniu, kulturę ma-
sową, ustępują pierwiastkom
utożsamianym z konsumpcyjnym
postrzeganiem świata właściwym
światopoglądowi zachodu,
dokładniej Stanów Zjednoczo-
nych Ameryki Północnej. Piszę,
co prawda Przemysław Kołak, iż
współczesny człowiek jest częścią
tłumu, nie wspomina jednak
o narodowości (lub jej braku)
człowieka masowego, porusza na-
tomiasz ważny problem; zaniku

aktywności służącej wyrażeniu
siebie i własnych poglądów, mani-
festacji odrębności jednostki. Wy-
daje się jednak, iż owocem mani-
festacji jest pełniejsza jeszcze
asymilacja. Uprawnionym zdaje
się wobec tego twierdzenie, że
masowe społeczeństwo tworząc
kulturę masową, stworzyło
również masową świadomość
społeczną, pełniącą funkcję gi-
gantycznej bazy danych o cechach
bliskich tworowi WWW. Wszyst-
ko czego pragniemy zostało już
tam odwzorowane, wystarczy
tylko "pobrać" odpowiednie mo-
dele - kwintesencja kultury doby
obecnej.

"Kultura Masowa"
Przemysława Kołaka jest jednym
z głosów w dyskusji o przemia-
nach społeczeństwa globalnego

i jego aktywności kulturowej.
Brak w niej jednak dystansu,
który pozwoliłby na tak ciekawe
i konstytuujące się na naszych
oczach zjawiska spojrzeć w spo-
sób pełniejszy. Fragmentaryzm
dyskursu przypomina fragmen-
taryzm kulturowy, z którego
zrodziło się zjawisko masowości.
Może i w tym przypadku ow-
cem rozważań autora "Kultury
masowej" będzie bardziej zwarty
pogląd.

Miłosz Babecki

Przemysław Kołak
Kultura masowa jako produkt
reklamowo-marketingowy
Wyd. Adam Marszałek
Toruń 2005

RECENZJE

Anna Rau

Smaczne niemieckie kielbaski

Kochane dzieci, na dzi-
siejszej lekcji zajmiemy się
kielboludami. Zapiszcie temat
(tak, Marzenko, ty jesteś dyżurną)
"Wieloznaczność kielboludów
jako czynnik wpływający na
ich miejsce w ogólnoludzkim
łańcuchu pokarmowym". Na-
szym tekstem źródłowym będzie
książka "Anioły i świnię" Bry-
gidy Helbig. Mam nadzieję, że
wszyscy przeczytaliście lekturę...
Robimy notatkę.

Z naturalnych przyczyn przy-
stosowawczych kielboludy przy
współlocie natury ludzkiej mają
formy różnorodne. Znajomość
kielboludów datuje się od lat
osiemdziesiątych, kiedy to na-
gminnie zaczęły się pojawiać na
terenie Niemiec (czyli naszych
zachodnich sąsiadów) - ze szcze-
gólnym uwzględnieniem stolicy
państwa, Berlina. Tak więc, pisz,
Piotrusiu, tak więc kielboludy to:
(i piszemy w punktach)

1. Jednostki ulepione z kielbasy;
2. Ludzkie kielbia (nie śmieję się,
Kamilku - to takie rybki).

Adnotacja do punktu
pierwszego. No, Magda, dła-
czego nie piesz, tylko gadasz?!!
Kielboludy kielbasiane... Funkcja
społeczna takiej formy przystoso-
wawczej jest chyba jasna. Piotru-
siu, jak ty rozumiesz tę definicję?
Jak to "nie rozumiesz"... Przecież
na poprzedniej lekcji była defini-
cja kielbasy! No słucham! Tak,
"kielbasa to wyrób wędliniarski

sporządzany z peklowanego i zo-
drobnionego mięsa wieprzowego,
wołowego, cielęcego z dodatkiem
tłuszczu i przypraw w osłonce z
jelita lub sztucznej"*. I do czego
służą? Do-je-dze-nia. Tak jest.
Więc kielboludy służą do metafo-
rycznego jedzenia, podkreślcie to;
jednym słowem, są eksploatowa-
ne i wykorzystywane w całości,
a w trakcie tego procesu nikną;
są niezbędne jedynie w tym
celu, a nie istnieją same dla sie-
bie. Najprostsze w świecie. Tak,
Kamilko, Niemcy lubią kielbasę.
Oczywiście lubią także mnóstwo
innych rzeczy Das Wurst to po
niemiecku "kielbasa", mają jej
wiele specjalnych odmian, z cze-
go czynią opatentowany przez
Unię Europejską produkt regio-
nalny typu na przykład franfur-
terki. Tak, Wiesiu, są też parówki
berlinki, ale to polskie parówki.
Nie wiem, dlaczego nazywają się
berlinki!! Dzienniczek proszę!
Tak... to znaczy nie, golonka to
nie kielbasa! No mniejsza, NIE
NOTUJCIE TEGO! Wracając
do kielboludów - kielbasę się
je, i kielboludy też służą ku me-
taforycznemu spożyciu, co już
wytłumaczyłam.

A teraz adnotacja do punk-
tu drugiego: "kielbie to jadła-
na drobna ryba z rodziny kar-
piowatych, o wrzecionowatym
kształcie, pospolita". Odpowied-
nie jest tu przypomnienie, iż
funkcjonuje w języku polskim
związek frazeologiczny "mieć

kielbie we łbie", który częściowo
opisuje naturę kielboludów, są
one bowiem nieskomplikowane,
niezrównoważone i niepoważne.
Kielbie to rybki wybitnie prze-
znaczone na żer większych ryb
drapieżnych, tak więc kielboludy
z kolei są podstawową, pospolitą
siłą roboczą, chętnie wykorzysta-
waną w sposób nadmierny.

Wszelkie odmiany kielbolu-
dów z natury kielbaszą się, czyli
mącą się i gmatwiają w zastanej
rzeczywistości.

A teraz wy napiszcie mi w
zeszycikach notatkę własną w
postaci zbioru argumentów do
tematu "który z kielboludów op-
isanych przez B. Helbig jest moim
ulubionym i dlaczego", a ja sobie
wyjdę...

Tyle z hipotetycznej lekcji
osnutej wokół dziwnej, moim zda-
niem, książki "Anioły i świnię".
Gatunkowo to jakby powiastka
filozoficzna, w której główna
bohaterka krąży po Berlinie, po
obozach dla cudzoziemców, po
uczelniach i łózkach, a lekko
kpiąca, zakręcona narracja przed-
stawia ów bardzo mętny światek.
Autorka posługuje się dwuznac-
nym terminem "kielboludy", lecz
po pewnym czasie przestaje to
tumanic i przestraszać, gdyż owa
metafora nie do końca odpowiada
próbie charakterystyki tych
żubny-nie-gastarbeiterów (w końcu
zmieniliśmy czasy i ustroje, a
mury runęły), czyli ludzi, z któ-
rymi na Zachodzie "mają prob-
lem". Prawdę mówiąc, wolałabym
jakieś psychologiczne powieści-
dło z narratorem w postaci stan-
dardowego, uporządkowanego
Niemca albo właśnie takiego
nie-w-pełni-pełnoprawnego
pracownika (w końcu autorka,

dzięki swoim doświadczeniom,
mogłaby przedstawić niejedną
ciekawostkę). Jednym zdaniem,
wydaje mi się więc, że zabieg swo-
istej mitologizacji po prostu nie
sprawdził się do końca. Ciekawym
byłoby też poznać jakiś literacki
rys psychologiczno-socjologicz-
ny. Zapis wewnętrzznego poczucie
wyobcowania Polaka na saksach.
Powieść-analizę odrębności (a
może podobieństwa) narodów.
Wypisy z problemów socjalnych
lub przystosowawczych. Nawet
jakąś kpiarską krytykę. Ale taką
zabawkę literacką? Ale z drogiej
strony, czy wszystko musi czemuś
służyć?

*Definicje kielbasy i kielbia
na podstawie: Słownika języka
polskiego. T. 1. Red. nauk.
Mieczysław Szymczak, PWN,
Warszawa 1978.

Anna Rau

Brygida Helbig
(Brigitta Helbig-Mischewski)
Anioły i świnię. W Berlinie!
(Fikcja literacka)
Wyd. Forma Autorska, Szczecin 2005.

W interesie kobiet i mężczyzn

“Falszywa ścieżka” Elizabeth Badinter to książka szczególnie. Bardzo szczególnie. Czołowa przedstawicielka francuskiego feminizmu wskazuje w niej bowiem nie tylko błędy i wypaczenia ruchu feministycznego, ale zabiera również głos w imieniu mężczyzn, upominając się o ich prawa. To książka szczególnie, bo wyraża przekonanie, że różnorodności winniśmy się domagać, a nie unifikacji, że o równouprawnienie winno nam chodzić, a nie o faworyzowanie czy wiktylizację którejś z płci. To wreszcie książka szczególnie dlatego, że Badinter udaje się zachować obiektywność i reprezentować w swoim eseju nie tylko kobiety. Doskonale udaje się jej “wejście w skórę” mężczyzny.

Badinter nie od dziś podejmuje tematy trudne, przez niektórych uznane może nawet za kontrowersyjne. Wystarczy przypomnieć “Historię miłości macierzyńskiej”, gdzie autorka obala mity i stereotypy narosłe wokół tzw. instynktu macierzyńskiego. Udowadnia, że jest to konstrukt kulturowy, a czegoś takiego jak instykt macierzyński nie ma – jest miłość matki, a i tej uczymy się wówczas, gdy przebywamy z dzieckiem. Nie dziwi zatem intelektualna odwaga Badinter, która tym razem staje w poprzek feminizmowi, mówiąc, że nie tędy droga i że feminizm sam ogranicza i zniewala kobiety niektórymi swoimi założeniami.

Jakie zatem zarzuty stawia francuska filozofka feministkom? Założenie, że kobieta jest zawsze ofiarą męskiej dominacji a mężczyzna charakteryzuje się zawsze charakterystyczną dla swojej płci agresją. Ten stereotypowy punkt wyjścia prowadzi do wielu wypaczeń – poczynając od traktowania kobiety jako istoty niesamodzielnej, bezbronnej, wymagającej nieustannej opieki po wykluczenie agresywnych zachowań po stronie kobiet. Ponadto, jak uważa Badinter, owa postępująca wiktylizacja wprowadza groźną likwidację różnicowań kulturowych, społecznych, ekonomicznych. Zauważa także groźną prawidłowość, że kobiety nie tyle dążą do równouprawnienia, ale do pokazania i udowodnienia,

która płć jest lepsza i którą płć należy oskarżyć. Prowadzi to do takich absurdów jak skrajne postulaty uznania za gwałt każdej, nawet wrozkowej i intencjonalnej, formy molestowania, żądanie zakazu pornografii czy uznanie każdego aktu seksualnego za przejaw męskiej dominacji i patriarchalnego zniewolenia. Tymczasem świat nie jest tak jednoznaczny, mówi Badinter. Zdają się kobiety, które lubią oglądać pornografię, które chcą być prostytutkami, które różnie odczytują przejawy męskiego seksualnego zainteresowania. Woła o opamiętanie się: “Na jednym biegunie Ona, bezbronna i udręczona, na drugim On – brutalny, władczy prześladowca. Obie strony okopały się na wrogich pozycjach. [...] Nie ma czegoś takiego jak uniwersalna męskość, jest wiele odmian mękości, podobnie jak wiele jest odmian kobiecości. Podziały binarne są niebezpieczne, ponieważ przesłaniają złożoną rzeczywistość, odwołując się do uproszczonych, sztywnych schematów. Niepokój budzi także fakt, że potępia się w czambuł jedną płć, bo to niewątpliwie zakrawa na seksizm; a także chęć poddania mężczyźni “redukcji”, bo to z kolei wywołuje jak najgorsze skrajności. Zawołowane czy otwarte apelowanie o “redukcję mężczyźni” zamiast o “zwalczanie nadużyć niektórych z nich” kojarzy się z programami totalitarnych utopii.”

Badinter słusznie dostrzega, że umacnianie się we wrogości i nienawiści nie prowadzi do niczego dobrego. Trzeba tępić przejawy negatywnych działań, ale dążyć do porozumienia i równouprawnienia płci. Autorka krytykuje powrót idei macierzyństwa jako przeznaczenia kobiety, widząc w tym dyskryminację kobiet, które dzieci nie mogą mieć lub ich nie chcą posiadać. Zdaniem Badinter, przejawy fundamentalizmu płciowego zarówno w wydaniu męskim, jak i żeńskim, są groźne dla ładu społecznego i wzajemnych relacji. Filozofka postuluje ogromną ostrożność, a właściwie zaniechanie tendencji do uogólniania i przypisywania określonych cech całej płci męskiej lub żeńskiej. Zaleca indywidualne rozpa-

trywanie przypadków i szacunek dla różnicowania. Znamiennym przykładem są przywoływane na łamach książki przypadki doświadczania przemocy ze strony kobiet przez mężczyzn. Faktem jest, że większość przemocy domowej dotyczy kobiet, ale zdarzają się przypadki odwrotne – w równym stopniu należy je tępić.

“Falszywa ścieżka” to przestroga przed kryzysem kobiecości i kryzysem mękości. Bardzo emocjonalna przestroga. Badinter naprawdę chce zmieniać świat, chce, by feminizm nie wpadł w pułapkę jednoznaczności i dyskryminowania we własnym gronie. Chce innego feminizmu. Bardziej otwartego, bardziej szanującego inność, wolność i prawo wyboru. Wiktylizacja kobiet nie prowadzi wcale do równouprawnienia, a tendencje unifikacyjne są groźne, także wtedy, gdy postuluje je

ruch feministyczny. Tylko szacunek dla różnorodności i odejście od wzajemnej wrogości na rzecz równouprawnienia i porozumienia daje nadzieję. Wszak nie o wojnę tu chodzi. Nie ona jest celem, ale pokój – z równymi prawami kobiet i mężczyzn.

Bernadetta Darska

Elizabeth Badinter
Falszywa ścieżka
przeł. Małgorzata Kozłowska
Wyd. W.A.B., Warszawa 2005.

Shutego traktat o manekinach

Każdego roku, w sezonie urlopowym zmysły wzroku i słuchu statystycznego odbiorcy: widza, słuchacza tępi wszechogarniająca martwota. Odwieczne hity filmowe i serialowe są kolejny raz “zajeżdżane” przez media publiczne i komercyjne. “Doświadczeni” dziennikarze, moderatorzy, broadcasterzy wykorzystują wówczas zdobywane wiele lat doświadczenie. Nastawiają swoje medialne nosy, węsząc ruszają na ulice szukać tematów, bowiem jak wiadomo te najlepsze leżą na bruku i podnieść je wystarczy, a nagroda Pulitzera lub jakakolwiek inna w zasięgu ręki. Wówczas, tzn. w lecie telewizyjnym czy radiowym w paśmie audio video goszczą opowieści o deszczu asteroidów, który, jakby na zawołanie spadnie, rozświetlając niebo, pojawiają się też komety, które nie zwiastują już zagłady, a pełnie księżycy zapowiadają dla odmiany nie jedną, lecz wiele gorących z pożądania nocy. Kiedy jednak astronomiczne hity stygną i powoli ulegają rozkładowi odzywać poczynają się ekolodzy, oceanografowie przypominając nam, iż każdego roku wielka woda wyrwa, a pustynne piaski pochłaniają kolejne połacie życiodajnej zieleni.

Podobnie do wspomnianych “autorytetów” zachowuje się Sławomir Shuty, specjalista od pustki masowej, badający zjawiska społeczne, ich podmioty i obiekty. Potem przy pomocy tych ostatnich, niczym producent gumowych lał, wykonuje odlewy, służące kształtowaniu światów przedstawionych. Odlew sprzyja multiplikacji, nieskończonemu powielaniu, tak więc podobne wątki i historie odnaleźć można w “Zwale”, “Produkcie polskim” (mierniku nastrojów i potrzeb konsumenckich), wreszcie w książce o tytule brzmiącym niczym wyrok dla hipochondryków maltretujących swoich lekarzy rodzinnych, którzy nie znajdując usprawiedliwienia dla wypisania tysięcznej recepty, konstatują: “Cukier w normie”.

Shuty dodaje jednak podtytuł “Z ekstrasubusem”. Gdzie się ów bonus ekstra ukrywa o tym za kilka chwil.

Traktat o manekinach, kierując się wskazówkami z okładki, może być po pierwsze: próbą sportretowania społeczeństwa, które niczym istota pierwotna pierwszy raz oglądająca swoje odbicie w lustrze, orientując się, że dostrzeż twarz można również w tafli jeziora czy nurcie strumienia,

przegląda się w szklanych tafłach witryn sklepów, butików czy supercentrów handlowych. Po drugie może to być także próba zorganizowania własnego show, w którym artysta piszący odgrywa rolę specjalisty od modelingu i wizerunku. Obie próby, strategie, wiążą się jednak ze swoistym ryzykiem czy to dla piszącego, czy opisanych.

Tafla wystawy sklepowej nie jest powierzchnią idealną. Wprost przeciwnie, zniekształca, ośmiesza, kpi rozciągając postać lub odbijając pomniejszoną z brzuchem przeogromnym i nosem zadartym. Na wybiegu zaś, jeśli to próba modelowania, spotkać się można z sytuacją odwrotną. Wszystko bowiem dąży do ideału. Piersi się tam eksponuje, brzuchy wciąga, nogi odsłania, włosy tapiruje, lica pokrywa makijażem. Mimo różnych technik kształtowania wizerunku, prowadzenia obywatelskiej kampanii wizerunkowej efekt podobny. Tak czy inaczej społeczeństwo nie wychodzi na załączonym obrazku modelowo.

Kiedy Shuty penetrował środowisko bankowo-biznesowe w pierwszym planie pojawiły się zawiść, sztuczność, fałszywe

pochlebstwo i wazeliniarstwo pracowników hamburger banku. Ci zaś z ułożonych, dbających o stopę oprocentowania wkładów i depozytów, przeobrażają się w upadające anioły branży kredytowej, odreagowujące w piątkowe i sobotnie noce, nurzając się w oparach wszelkich i dryfując na falach wysokoprocentowych trunków, snując wizję przypominającą obraz Joela Shumachera pod znanym tytułem "Upadek". Bohater Sławomira Shutego niczym D-Fens pragnie porządkować świat, likwidując tych, którzy staną mu na drodze.

W lekarskiej diagnozie "Cukier w normie" miejsce D-Fensa zajmuje bohater zbiorowy, społeczeństwo "obywatelskie": Jacek, Iwona, Wanda, Bartek, Staszek, Emilia, Januszek i jego rodzinka, Leszek i teściowa oraz wielu innych, żeby jeszcze wspomnieć Józka Kielbasę, pana Tacka i społeczność małej miejscowości przygotowującej się do pierwszego kontaktu, spotkania trzeciego stopnia z pozaziemską cywilizacją. Sławomir Shuty przeistacza się właśnie w przedstawiciela takiej pozaziemskiej inteligencji. Obserwuje, bawi się swoimi kukielkami,

modelami naturalnej wielkości, wskazując na ich płytkość i genetyczną niemalże szkodliwość społeczną, czego dowodzi choćby opowiadanie "Po sąsiedzku". Aktorzy codzienności są tu popolici, pozbawieni szczególnych cech pozytywnych. Reprezentują natomiast typowe dla polskiego społeczeństwa cwaniactwo i kombinatorykę w wersji podwórkowej.

"Cukier w normie" to po prostu zwykłe badanie, w dodatku banalne, od którego wyniku nic w zasadzie nie zależy. Bo czy w normie czy nie, Polak i tak swoje wie. Pod tym względem najlepszą dla zbioru opowiadań Sławomira Shutego pointą będzie modlitwa Polaka z filmu Marka Koterskiego "Dzień Świra": "Gdy wieczorne zgasną zorze. Zanim głowę do snu złożę. Modlitwę moją zanoszę. Bogu ojcu i synowi, dopierdolicie sąsiadowi. Dla siebie o nic nie proszę, tylko mu dosrajcie proszę. Kto ja jestem? Polak mały. Mały zawisły i podły. Jaki znak mój - krwawe gały. Oto wznoszę moje modły, do Boga, Marii i Syna, zniszczcie tego skurwysyna. Mego brata sąsiada, tego wroga, tego gada. Żeby mu okradli garaż, żeby go zdradzała

stara, żeby mu spalili sklep, żeby dostał cegłą w łeb [...] oto modlitwa Polaka".

Pozostaje jeszcze wyjaśnić kwestię ukrytego między wierszami bonusa. Być nim może (ale czy jest, czy nikt go sobie nie przywłaszczył w kolportażu?) "Miejski kraul", historyjka z elementarza codzienności, kpiąca z kwiatu młodzieży polskiej, posługującej się soczystą polszczyzną, bo i fantazja u najmłodszych ognista i dać jej wyraz trzeba. Cóż jednak z tego. (tylko) Język narracji Shutego nie może być ciągle jego atutem. Czyżby po "Zwale" nie nastąpiło jeszcze podźwignięcie?

Miłosz Babecki

Sławomir Shuty
Cukier w normie. Z ekstrasobusem
Wyd. W.A.B. Warszawa 2005.

SZKICE

Sebastian Żurowski

Napisz se recenzję! (pilot serii)

Każdy kiedyś musiał w szkole pisać "z polskiego" różnej maści wypracowania, streszczenia, charakterystyki, sprawozdania, rozprawki i recenzje. To wszystko, prawdę mówiąc, nic nie daje, bo po ukończeniu obowiązkowej nauki większość byłych uczniów i tak już nigdy w życiu niczego więcej nie napisze. Najbardziej jednak boli to, że bez względu na wszystko ocenia się praktycznie wyłącznie stopień wypełnienia schematu założonej formy i ortograficzno-interpunkcyjną poprawność, a oryginalność i zdolność myślenia (którą najlepiej można pokazać w bardzo luźnym eseju) nie zawsze jest zaletą i często bywa niszczonea niezbyt motywującymi ocenami. A że narzucane z góry "precyzyjne" kryteria oceniania są co najmniej upupiające, postaram się za chwilę udowodnić.

W nie tak dawnej w polskim kinie epoce "adaptacji kanonu lektur szkolnych", szkoły tłumnie nawiedzały kina, a rezultatem tego pędu ku intelektualnej

podniecie musiały być tysiące tzw. recenzji znajdujących się w zeszytach uczniów. Spróbujmy wyobrazić sobie właśnie taką przykładową recenzjkę, która mogłaby się w jednym z kącików znaleźć. Założmy, że obejrzanym filmem było "Przedwiośnie" - recenzja może brzmiałaby jako tak:

"Filip Bajon, ekranizując "Przedwiośnie" Stefana Żeromskiego, bardzo ryzykował. Film wymagał dużego nakładu pieniędzy, co same w sobie nie jest złe, ale tylko wtedy gdy istnieje szansa na to, żeby inwestycja się zwróciła. To może zapewnić jedynie duża widownia, a w Polsce obecnie dużą widownię dla rodzimych produkcji zapewniają jedynie ekranizacje lektur szkolnych. Wszyscy wiemy, że na nie tłumnie udają się całe szkoły. Przez to jeszcze bardziej podpada czytelność lektur, choć z drugiej strony większość ich i tak nie czyta, więc przynajmniej mogą zobaczyć "Ogniem i mieczem" czy "Pana Tadeusza". Jed-

nak ten substytut może nie być pełnowartościowy: często zbyt dużo różni scenariusz filmu od jego literackiego pierwowzoru. "Przedwiośnie" Bajona (reżyser jest również autorem scenariusza) w zasadzie nie różni się zbyt od "Przedwiośnia" Żeromskiego - główna różnica to zakończenie, gdyż w filmie Cezary Baryka (brawurowo zagrany przez Mateusza Damięckiego) ginie podczas marszu na Belweder, czego nie ma w powieści - ale różnica nie tkwi w fabule, lecz w ogólnym wydźwięku: bohaterem książki była raczej powstająca z popiołów Polska, podczas gdy film jednoznacznie opowiada o bohaterze jednostkowym. Jego dojrzewaniu i odnajdywaniu się w nowej dla niego rzeczywistości. To chyba słusne podejście reżysera, który zdynamizował narrację, zbliżając się do stylizyki kina akcji.

Jak na nasze polskie warunki, a warto to podkreślić jeszcze raz, film zachwyca swoją stroną wizualną. Początkowa sekwencja w Baku czy też bitwa na bagnety we mgłę to sceny w których najlepiej zrealizował się niewątpliwie talent kamerzysty Bartosza Prokopowicza. Obrazowi towarzyszy sugestywna i zapadająca w pamięci

muzyka Michała Lorenca. Na ścieżce dźwiękowej możemy także usłyszeć wielkich klasyków: Fryderyka Chopina i Franza Schuberta. Świetnie spisali się również aktorzy drugoplanowi (na pierwszym planie jest praktycznie jedynie Damięcki i jego Baryka): Krystyna Janda i Janusz Gajos grający rodziców Cezarego, a także Daniel Olbrychski (Szymon Gajowiec) i Maciej Stuhr (Hiepolit Wielosławski), który najwyraźniej chciałby pójść w ślady swego znanego ojca. Poza czołówką polskich aktorów w międzynarodowej obsadzie są Azerowie, którzy znakomicie urealnijają sceny rozgrywane się w Baku.

Na pewno warto wybrać się na ten film. Jeśli nie po to, by skonfrontować wizję ekranową ze swoim wyobrażeniem (do tego potrzebna by była jeszcze znajomość powieści...), to przynajmniej, aby zobaczyć kolejny polski obraz, który nie odstaje za bardzo od europejskiego i światowego poziomu i który jest znakomitym wejściem naszej narodowej kinematografii w XXI w."

Właśnie jakoś tak. Garść frazesów, a belfer i tak dobrą ocenę postawić musi, właśnie ze względu

na wręcz wzorowe spełnienie wymagań stawianym szkolnej recenzji. Wskazane się różnice między filmem a jego pierwowzorem, znajdują się sformułowania pozorujące znajomość książki i nawet warsztatu filmowej produkcji, "oceniona" jest gra aktorów, muzyka, zdjęcia i nawet na końcu jest coś na kształt subiektywnej oceny recenzowanego dzieła. W tym miejscu proponuję myślowy eksperyment. Pół roku po "Przedwiośnie" do kin weszło przezacne "Quo vadis" Jerzego Kawalerowicza. Oto hipotetyczna "recenzja" tej kolejnej polskiej super-hiper-mega-produkcji (na marginesie: ja ten film uznaję za bezwartościowy):

"Jerzy Kawalerowicz, ekranizując "Quo vadis" Henryka Sienkiewicza, bardzo ryzykował. Po tę książkę filmowcy sięgali już wielokrotnie, a kolejny film wymagał dużego nakładu pieniędzy, co same w sobie nie jest złe, ale tylko wtedy gdy istnieje szansa na to, żeby inwestycja się zwróciła. To może zapewnić jedynie duża widownia, a w Polsce obecnie dużą widownię dla rodzimych produkcji zapewniają jedynie ekranizacje lek-

tur szkolnych. Wszyscy wiemy, że na nie tłumnie udają się całe szkoły. Przez to jeszcze bardziej podupada czytelnictwo lektur, choć z drugiej strony większość ich i tak nie czyta, więc przynajmniej mogą zobaczyć "Ogniem i mieczem" czy "Pana Tadeusza". Jednak ten substytut może nie być pełnowartościowy: często zbyt dużo różni scenariusz filmu od jego literackiego pierwowzoru. "Quo vadis" Kawalerowicza (reżyser jest również autorem scenariusza) w zasadzie nie różni się od "Quo vadis" Sienkiewicza - główna różnica to zakończenie, gdyż w filmie święty Piotr (zagrany z dużą rutyną przez Franciszka Pieczkę) metaforycznie powraca do Rzymu końca XX w., czego nie ma w powieści - ale różnica nie tkwi w fabule, lecz w ogólnym wydźwięku: bohaterem książki byli raczej ludzie tamtej epoki, podczas gdy film jednoznacznie opowiada przez kostium o kondycji człowieka współczesnego. O dojrzeniu do wiary i odnalezieniu się w nowej dla niego rzeczywistości. To chyba słuszne podejście reżysera, który lekko zdynamizował narrację i momentami zbliża się do stylistyki kina akcji. Do tego, co podziwialiśmy

w "Gladiatorze" Ridley'a Scotta. Jak na nasze polskie warunki, a warto to podkreślić jeszcze raz, film zachwyca swoją stroną wizualną. Sekwencja wielkiego pożaru Rzymu czy też sceny w Koloseum to sceny, w których najpełniej zrealizował się niewątpliwie talent kamerzysty Andrzeja Jaroszewicza. Obrazowi towarzyszy sugestywna i zapadająca w pamięci muzyka Jana A.P. Kaczmarka. Na ścieżce dźwiękowej możemy także usłyszeć bardzo frapujący śpiew Nerona (czyli Michała Bajora). Świetnie spisali się praktycznie wszyscy aktorzy: Bogusław Linda (Petroniusz), Jerzy Trela (Chilon Chilonides), a także wspomniany Franciszek Pieczka i Michał Bajor, dla którego była to pierwsza od dziesięciu lat rola filmowa. Poza czołówką polskich aktorów w filmie pojawiają się nieprzebrane tłumy polskich i francuskich statystów.

Na pewno warto wybrać się na ten film. Jeśli nie po to, by skonfrontować wizję ekranową ze swoim wyobrażeniem (do tego potrzebna by była jeszcze znajomość powieści...), to przynajmniej, aby zobaczyć kolejny polski obraz, który nie odstaje za bardzo od europejskiego

i światowego poziomu i który jest znakomitą wejściem naszej narodowej kinematografii w XXI w."

I jak? Zmiany w sumie niewielkie, a jakież piorunujący efekt! W ramach pracy domowej proszę do następnego miesiąca napisać dwie kolejne prace. Rozpoczynając następująco: "Jerzy Hoffman ekranizując "Ogniem i mieczem" Henryka Sienkiewicza bardzo ryzykował" "Andrzej Wajda ekranizując "Pana Tadeusza" Adama Mickiewicza bardzo ryzykował"...

Sebastian Żurowski